

20 STYCZNIA

Zaśnieżonymi ulicami miasta — tym razem ze wschodu na zachód — zaczęły ciągnąć grupy, a potem długie kolumny uchodzących w popłochu Niemców. Konie przy wozach uciekających „Balten” i „Wolhynien” — Niemców były oszronione, zgonione ustawicznym poganianiem do największego wysiłku. Na wozach toboły i kobiety obchudzone chustami oraz wystraszona, zziębnięta dzieciarnia.

Patrzyłem na tę wędrówkę z mieszanymi uczuciami: satysfakcji i radości, a równocześnie współczucia i obawy.

Generał Mattern ogłosił Poznań twierdzą i wydał zarządzenie, aby ludność polska, pod groźbą surowych represji — opuściła w oznaczonym terminie miasto i udała się pospiesznie na zachód. Nieliczni tylko część poznańskich przemieszanych — do krewnych i znajomych — na dalekie przedmieścia i pobliskie wioski. W mieście pozostało nie więcej, jak kilkadziesiąt tysięcy bezbronnym Polaków i tyleż mniej więcej licznych, doskonale uzbrojonych niemieckich oddziałów wojskowych oraz SS. Na murach rozlepiano — nawet kilka razy dziennie — coraz bardziej bezwzględne i groźne zarządzenia.

21 STYCZNIA

Udało mi się zdobyć radio bateryjne. Wyłapujemy komunikaty o radzieckiej ofensywie i zajęciu Łodzi, Kutna i okolicznych miast. W przewidywaniu walk, przenosimy się do piwnic, zamienionych w schrony przeciwlotnicze, uciekamy je pospiesznie. Oszczędnie pali się świeczki. Organizujemy samorządnie wspólną kuchnię i obronę przed ew. pożarami. Patrole niemieckie wyłapują Polaków i zmuszają do pomocy w organizowaniu obrony miasta: zwożeniu i przenoszeniu żywności i amunicji. Znamy więc dokładnie rozmieszczenie i siłę niemieckich punktów oporu... Ulice pustoszeją. Miasto sprawia wrażenie wymarłego. Życie pulsuje teraz w podziemiu.

23 STYCZNIA

Zapaliły się cysterny ze spłutym na terenie „Aquawitu” za Rzeźnią. Dalekie pomruki artyleryjskiego ognia. Na Chwaliszewskim ośmiu nad Wartą — zasiadki z drutu kolczastego, gniazda karabinów maszynowych. Saperzy zakładają skrzynki z ładunkami materiałów wybuchowych. Długie kolejki z wiadrami. W ciszy nocnej słychać stukot podkutych butów, zgrzyt gąsienic i nagle... strzały! Kto strzelał? Gdzie?

26 STYCZNIA

Uchwała Rady Ministrów w Lublinie, Michał Gwiazdowicz mianowany został wojewodą poznańskim. Miasto jest okrążone...

28 STYCZNIA

Pierwsze oddziały wojsk radzieckich wdzierają się do południowych przedmieść i dzielnic Poznania. Zajmują: Luboń, Wilkę, Łazarz i Górczyn. Niemcy stawiają zaciekły opór przy Watach Królowej Jadwigi, w forcie Grollmana, bronią się w „Domu Żołnierza”, gdzie była siedziba „gestapo” i w Zamku. Ulicę po ulicy, a nawet dom za domem zdobywa się w zaciekłych, krwawych walkach. Polacy przeprowadzają żołnierzy radzieckich piwnicami, przez podwórza, wskazując punkty oporu... Niemcy koncentrują i wzmacniają teraz obronę na Starym Mieście. Całą noc pali się Ratusz na Starym Rynku i okoliczne domy. Oibrzmiły słup czerwonego ognia rozjaśnia ulice. Kto i czym ma ratować? Straży Pożarnej nie ma, brak wody. Zabite konie chwytają się pod kulemi. Dzielimy się resztkami żywności. Jak dawno już się nie myjemy? Mężczyźni zarostni. Zimno. Kobiety przebiegają się w spodnie, włosy ukrywają w „narcziarkach”. Pali się dach i ostatnie piętrowe domu, który

nas chronił; bezowocne próby ugaszenia; pożar rozszerza się, jak lawina, na niższe piętra, zbieramy pospiesznie manatki i, przepuszczając kobiety z dziećmi, przechodzimy przebitym przejściem w piwnicy do sąsiednich schronów. Walą się wypalone ściany do mow. Walka, pożary i śmierć — bezustannie krzyżują swe drogi... Kilkanaście dni...

11 LUTEGO

W Kościele Matki Boskiej Bolesnej na Łazarzu odbywa się nabożeństwo dziękczynne, a następnego dnia radziecki komendant wojenny miasta Poznania — pułkownik Smirnow ogłasza m.in.:

Tak było

„Nakazuję wszystkim instytucjom i przedsiębiorstwom użyteczności publicznej (elektrownie, wodociągi, szpitale, apteki, straż ogniową, żandarmy, zakłady handlowo-przemysłowe i inne) kontynuować pracę, a tym, które ją przerwały — wznowić! (...) Zezwalam na ruch uliczny w mieście od godziny 7 rano do godziny 20...”

Tego samego dnia, po pięć i pół letniej przerwie, zostaje uruchomiona pierwsza polska szkoła przy ul. Jarochofskiej.

12 LUTEGO

50 ochotników przekrada się do schronów przy Św. Wojciechu i przeprowadza do wyzwoleńców dzielnic 2.000 ludzi, którzy byli pod ostrzałem, bez wody i środków do życia. Tego samego dnia ukazuje się obwieszczenie Zarządu St. m. Poznania:

„Na skutek 3-tygodniowych działań wojennych, prawie połowa naszego miasta leży w gruzach, brak światła, wody i żywności...”

...zakazuje się zabierania cudzego mienia, piądrowania mieszkań prywatnych...”

Spotykam plastyka Józka Murlewskiego. Umawiamy się na Chełmońskiego 20, gdzie por. Pawłowski organizuje Urząd Informacji i Propagandy. Tam dołączają się do nas: grafik L. Kapczyński, dziennikarze: Brzeski i Kaniasty, później Tułasiewicz. Zanoszą się na to, że lada dzień ruszy polskie pismo w Poznaniu.

14 LUTEGO

Ks. biskup Walenty Dymek ogłasza arcybiskupskie pozdrowienie. Zaczyna funkcjonować poczta. Doręczono pierwsze przesyłki listowe.

15 LUTEGO

Wojenny Komendant Poznania ogłasza rozkaz Radzieckiego Dowództwa Frontu: „W celu odbudowania zniszczonych przez niemieckie wojsko linii kolejowych, mostów, dróg bitych i budynków — rozkazuję zmobilizować wszystkich mężczyzn niemieckiej narodowości...”

Tego samego dnia prezydent miasta Poznania — inż. Maciejewski, podaje w rozkrojonym w mieście obwieszczeniu: „...z dniem 17 lutego zostaje uruchomiony Urząd Starostwa Cywilnego, ślubów... będą udzielane natychmiast...”

16 LUTEGO

Komunikat Radzieckiego Biura Informacyjnego podaje: „W Poznaniu prowadzi się walki, celem zniszczenia okrążonego przeciwnika. Niemcy

znajdują się w Cytadeli i na przedmieściach na wschodnim brzegu Warty, stawiają wielki opór”. Na wyswobodzonych ulicach Poznania ukazuje się pierwsza polska gazeta: — „GŁOS WIELKOPOLSKI”. Otrzymujemy pierwszą polską legitymację służbową, tak jak każdy dokument w tych dniach, wystawioną w języku polskim i rosyjskim. Nad Cytadelą pojawiają się ostatnie „Junkersy” transportowe, zrzucając ładunki. Radzieckie zenitówki przepłaszają niedobitków „Luftwaffe”. Celem zorganizowania aprowizacji miasta rezerwy wyjeżdżają helikoptery na prowincję dla zakupu bydła. Zorganizowano straż po żarnach. Chodzę po mieście: na ulicach — śnieg, odpadki, gruzy, zerwane druty sieci tramwajowej, porozrzucone resztki sprzętu wojakowskiego. Szkielety spalonych domów, osmolone, jeszcze ciepłe, zarysowane ściany grożące zawaleniem. Po bezpańskich mieszkaniach plądrują złodziejzki...

W zimnych halach fabrycznych robotnicy i majstrowie pracują o głodzie nad uruchomieniem maszyn i produkcji. Lekarze — jest ich zaledwie kilkunastu — nie mają czasu na sen. Wciąż napływają nowi ranni spod Cytadeli i z miasta — ofiary niewypałów min i porzuconej amunicji...

Ocalał jedynie Most Dworcowy. Toteż tłok na nim szalony, w przeciwieństwie do martwego, wypalonego dworca. Most Teatralny mimo, że wysadzony w powietrze przez Niemców, możliwy do przejścia, natomiast „Kaponiera” usiadła na tory kolejowe i przejście przez nią połączone jest z niebezpiecznym zjazdem i wspinaczką.

Niebezpieczeństwo epidemii. Wybuchają niewypały. W Ogrodzie Zoologicznym Niemcy zabili słonia, lwy, tygrysy i niedźwiedzie. W Palmiarni najbardziej ucierpiały kaktusiarze. Zmarły piękne agawy, nie ocalały ryby ciepłowodne. Zdołano uratować storczyki i słynną „Victoria Regia”.

18 LUTEGO

W „Propagandzie” — otwarcie pierwszej świetlicy. Przemawia Widy-Wirski, wiersze Baka recytuje Kotzur J. Szulc, poloneza (oczywiście A-dur Chopina) gra Kotzur, śpiewa Stulgrosz przy akompaniamencie Buchwald... W Operze Z. Wojciechowski organizuje powoli Operę...

19 LUTEGO

Urząd Stanu Cywilnego obłożony. Nic dziwnego. Niemcy zabierali małżeństw Polaków poniżej 27 lat, a Polkom — poniżej 25 lat. Pierwszy ślub cywilny zawierają: mgr Kazimierz Nadobnik i p. Anatolia Antropow. Z powodu nawalu ogłoszeń, musiano ograniczyć ilość ślubów...

Rozpoczynają prace urzędy mieszkaniowe. Na jeden pokój mieszkalny norma przewiduje 4 osoby. Przydział mebli i wyposażenia po Niemcach ma odbywać się w kolejności: pogorzelcy, zepiedzony proletariatus, powracający...

21 LUTEGO

Zarządzono mobilizację sił roboczych wszystkich Polaków w wieku 16 do 60 lat, celem uporządkowania miasta. Jednak w dalszym ciągu meble i wyposażenie niektórych „organizują” na własną rękę. Polscy milicjanci z karabinami i opaskami na rękawach przychwytyują „przewoźników” i rekwirują zagrabione mienie.

22 LUTEGO

Ogłoszono normy przydziału żywności na kartki dla pracowników i korzystających z opieki społecznej. Wysokość przydziału zależy od rodzaju wykonywanej pracy. Kartek żywnościowych jednak nie ma, sklepy zamknięte i żyje się z zapasów lub ze stołówek i kuchni, działających w kilku punktach miasta. Do czasu wprowadzenia kartek, zakłady pracy wydają deputaty: najczęściej i nieco dziennie, bochenek lub półow-

kę czarnego chleba. I wreszcie:

23 LUTEGO

Komunikat Radzieckiego Biura Informacyjnego podaje:

„Wojska I Frontu Białoruskiego, po miesięcznym oblężeniu i uporczywych walkach, zakończyły rozgromienie otoczonego ugrupowania nieprzyjaciela i 23 lutego całkowicie zdobyły miasto i twierdzę Poznań — ważny strategiczny węzeł obrony Niemców w kierunku na Berlin. W toku walk, w Poznaniu wojska frontu wzięły do niewoli 23.000 niemieckich żołnierzy i oficerów.

Pod konwojem żołnierzy radzieckich przechodzą przez miasto długie kolumny jeńców. Brudni, zarostni, w poplamionych i wygniecionych, obstrzępionych płaszczach — „feldgrau”, bez pasów...

2 MARCA

Uroczystość otwarcia roku szkolnego w pierwszym, uruchomionym na terenie Poznania Gimnazjum Męskim im. Karola Marcinkowskiego. Rozgłosznie poznańska nadaje już swój program, na razie tylko przez 2 megafony uliczne. Pod głośnikami — tłumy...

3 MARCA

Na Łazarzu — koncert artystów Teatru Moskiewskiego. Repertuar polski (H. Kiriłowa śpiewa arie z „Halki”). Wielu ludzi ma łzy w oczach, prof. Z. Lisiecki, dziękując, myli rosyjskie słowa... Następnego dnia w muszli parku — „Poranek słowa i muzyki polskiej”. Tłumy poznańców z dzieciarnią. Występuje „z nowych” Strugarek, zespół Popiłekiewicz, Wojciechowski, Duni-Falakówna. Życie kulturalne rusza pełną parą.

6 MARCA

Zebrań konspiracyjnych Okr. Związku Piłki Nożnej. Sędzia Jonsik — jako pełnomocnik Ministerstwa Sprawiedliwości — rozpoczął pracę nad organizowaniem władz sądowych.

7 MARCA

Powitanie oddziałów Wojska Polskiego na Moście Św. Rocha.

Powoli ruszają pierwsze tramwaje, na razie tylko od ul. Palacza do Parku Wilsona.

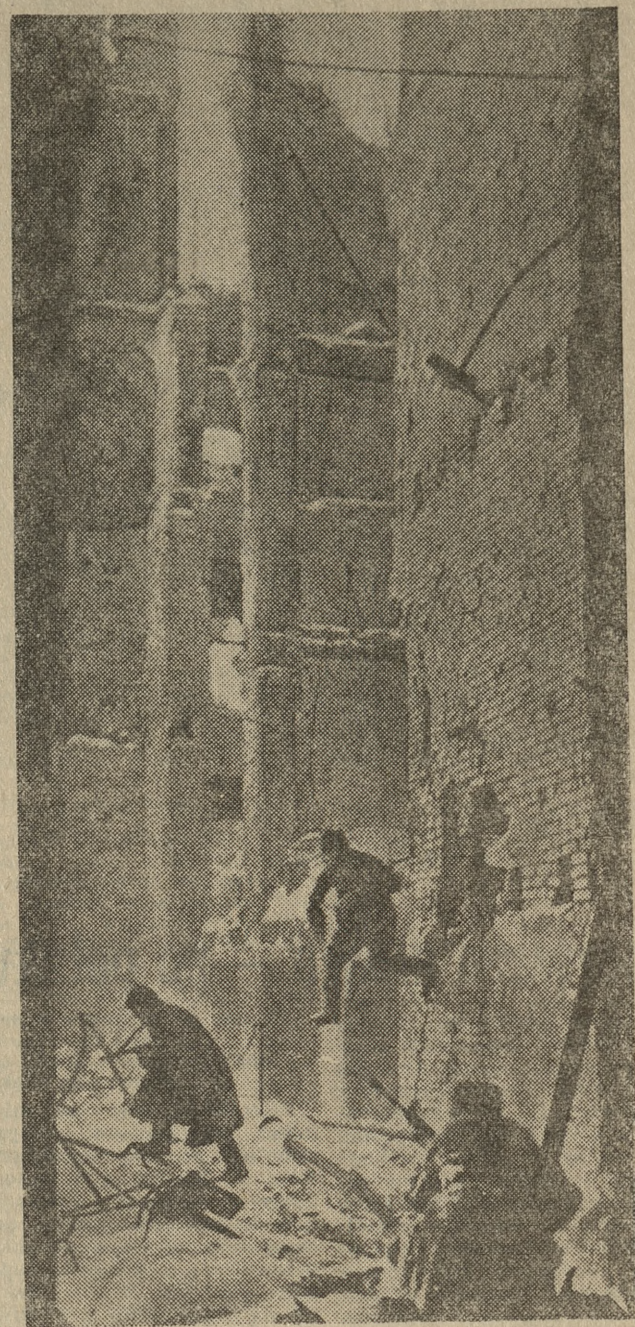
13 MARCA

Wymiana marek niemieckich na złote polskie, lecz najmocniejszym środkiem płatniczym jest... wódka i zegarki. Kwitnie handel wymienny i czarny rynek.

14 MARCA

Z każdym dniem powracają poznaniacy, wywiezieni do „GG”. Przez Poznań stale przepływają długie kolumny taborów i wojsk radzieckich na front nad Odrą. Stopniowo powraca porządek na ulicach i spokój. Każdy wraca do pracy i zwykłych codziennych trosk i kłopotów, ale bywają też niezwykłe i dziwne, jak to — powtarzane aż czterokrotnie — drobne ogłoszenie w „Głosie Wielkopolskim” z 25 marca: „Nagrode 150,— zł lub inne rzeczy otrzyma, kto wskaże, gdzie się znajduje mały piesek, brązowa retrupczka, która zaginęła. Ogonek, uszka obcięte. Zgłoszenia: Poznań, ul. Śniadeckich...”

Czesław KUBALIK



Gdy „Marcinek” był „budą” wędrowną

Starszym - dla wspomnień młodym - ku uwadze

Ludzie wciąż jeszcze no- strony — zamiary. Dyrektor Roszko był oburzony.

Nie zwykła to była młodzież. Zapal do nauki zdumiewał samych pedagogów. Ileż to najmlodsza z matematyków jaką kiedykolwiek miałem przyjemność poznać, mgr Zofia Zalewska, hamowała nas, matematykofizyków przed... nazbyt pospiesznym podążaniem z materiałem naprzód.

— To panowie znają już te działania? — pytała nasza przemiła „Zosia”. Otrzymując twierdzącą odpowiedź, poparła recytowaniem metody rozwiązywania określonych zadań, skróconym wypracowaniem wzoru przez paru „asów” — machała ręką i... szliśmy z programem parę kartek dalej.

„Panowie” — to brzmiało przyjemnie, co tu gadać. Cóż, z wyjątkiem bodaj Andrzeja Weissa i mnie, koledzy liczyli sobie najmniej po 20 wiosen...

Byliśmy gromadką bardzo solidarną. Pewnego razu jeden z naszych ulubionych pedagogów, mgr Pomykaj, zapadł poważnie na zdrowiu (nerwy). Błyskawicznie „zmobilizowaliśmy” skromne zasoby pieniężne i wiktualne. Delegacja z J. Stamenem (nie żyje, już, niestety) na czele ruszyła na Śródkę, do rodziny profesora...

Oczywiście, per pedes. Przez cieć to był kwiecień, może maj 1945. Miłki dopiero strzały. Ludzie cieszyli się, że jest woda i światło, tramwajem jeździło się tylko po Głogowskiej. Mieliśmy wtedy, my w liceum, jakieś „lepsze” kartki żywnościowe, zdaje się I kategorii. Byłem wzruszony, gdy wiosną poproszono mnie do gabinetu dyrektora i mgr Roszko wręczył mi 100 zł sty-pendium. Ta, symboliczna niemal czerwona setka, trafiła mi nie tylko do kieszeni. Do serca także.

Koniec maja. Alarm! Trze-cia przeprowadzka. Na Młyną. Wyruszamy. Znow wózki (ale już była i platforma kon-)

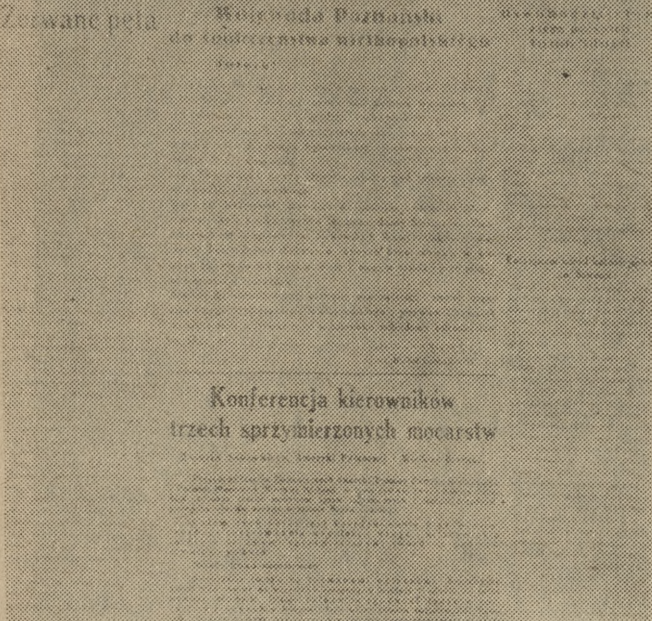
(Dokończenie na str. 2.)

GŁOS WIELKOPOLSKI

Cytadela szturmem zdobyta

Wielki sukces. W tym dniu, 23 lutego, zdobyta została Cytadela. W tym dniu, 23 lutego, zdobyta została Cytadela. W tym dniu, 23 lutego, zdobyta została Cytadela.

23 lutego — dokładnie 13 lat temu — zdobyto ostatni ośrodek hitlerowskiego oporu w Poznaniu — Cytadelę. Pamiętamy wzruszenie, ogarniające każdego mieszkańca naszego miasta na tę od dawna oczekiwaną wiadomość...



W piątek, 16 lutego, kiedy jeszcze miastem wstrząsały zażarte walki, na ulicach Poznania ukazało się pierwsze pismo drukowane po polsku.

Fot. (2) K. Przychodzki (Archiwum „Głosu”)

Pierwsze słowa — po polsku

W moim archiwum dziennikarskim, mam kilka „białych kruków” z pamiętnych dni roku 1945. Może niezupełnie „białych”, ale w każdym razie z wyraznymi tendencjami do siwizny. A więc: pierwsze roczniki „Głosu”, grafiki, rysunki satyryczne i karykatury pierwszych naszych „współpracowników” spośród poznańskich cyganerii artystycznej, z niezapomnianymi, a dziś już nie żyjącymi przedstawicielami — Wittem Gawęckim i Smuczynskim.

Prosty, wręcz prozaiczny był „Głosowy” początek. Ówczesne „pióra” zbiegły się ze wszystkich stron kraju: z Bugu, od Wisły i z tzw. „GG”. Byli i tacy, którzy przetrwali okupację w Poznaniu jako... obsługi tramwajowej, „czwórki”.

Redakcja mieściła się przy ul. Chelmońskiego w dwóch nie opalanych pokojach. Siedzieliśmy więc w płaszcach i pisaliśmy o wydarzeniach, których mnóstwo przynosił każdy dzień. Tak, pierwszy raz nie brakowało nikomu tematów.

Reportery zносили wiadomości z poznańskiego cytańdelowego frontu i popularnego „deptaka” — obecnej ulicy Głogowskiej, będącej wówczas czymś w rodzaju śródmieścia. Nasz „Lysy” depeszowiec Jan Gajewski biegał (nie mieliśmy samochodu, tramwaje były nieczynne) dwa razy dziennie na Górę Włóczęgów, by w Wojennej Komendancji dowiedzieć się, co dzieje się pod Berlinem. Kiedyś nawet, podczas jednej z takich wypraw, obrano go w ciemnej ulicy z portfela. Brzeski pisał wstępniaki, Kaniasty był sekretarzem, gońcem i red. technicznym, a naczelny — Haiski (dziś już nie żyjący) organizował redakcję i adiustował materiały.

W południe była zupa i kromka chleba. Pieniądze? O tym nikt z nas wówczas nie myślał. Za to chętnie witaliśmy wśród nas każdego, kto miał tytoń, zwłaszcza nadwileński, bo kręciło się z niego doskonałe papierosy.

„Głos” wychodził „w obłotce” 2 stron. Drukowano go na płaskiej, ręcznej maszynie i ciągle było go za mało dla ludzi spragnionych polskiego słowa. Jak święto przeżywalismy więc 6 marca, kiedy ukazał się pierwszy 4-stronnicowy numer. A cóż to była za uciecha, kiedy redakcja przeniosła się do kilku pokojów na ul. Wyspiańskiego! Kiedy pierwszym pożyczonym od wojska „jeepem” mogliśmy rozwieźć „Głos” po mieście!

Mijały dni, z chaosu powojennego życie wracało na normalne tory. Drażniło tylko powolne tempo porządkowania i odbudowy miasta. Jakże byliśmy niecierpliwi! Wit Gawęcki rysował, a Stefan Sojecki pisał zjadliwą satyrę, którą można by żywcem przetrześć w dzisiejsze czasy. Jedną z nich np. kończyła się strofą:

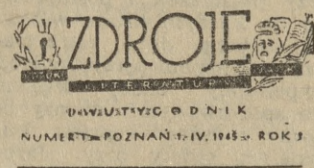
Widzę czystość w każdym kątku,
Gruzy — wywiezione wcześniej,
Chodniki widzę w porządku —
Widzę, lecz niestety — we śnie.
Początek innej brzmiał:
W zacisznej knajpie przy dobrej
kolacji
siedli kanciarze; każdy tęgi
pił jak: cze gen. Kozłowa, szefa szta-

„Ja tam już — bracie — dość mam demokracji” — rzekł pierwszy. — „Dłużej nie wytrzymam niżej!”

Pomysłów było co nie miara, w chwilach wolnych szumiała w nas wyzwolona młodość. Kiedyś, gdy wracaliśmy z birbantki, Gawęcki dosiadał lwa przed Operą, demonstrując w ten sposób niezadowolenie z poziomu pewnego spektaklu. Po ciszy opery przechowywał wystawiony mi z jakiejś okazji rachunek: „Za 45 pociągunków od koleżanek — 15 l., „czyste” — za brak artykułów w „Głosie” — 25 „jasnych”, za całoroczne irytowanie kolegów — 250 zakąsek”.

I jakże tu nie wracać myślą do tamtych dni? Mimo że — jak mówi Remarque — „nigdy nie wraca godzina, którą się raz przeżyło”.

Józef TUŁASIEWICZ



TREŚĆ

REDAKCJA
Chcę pisać lżej...
DR. FELIKS WIDY-IRSKI
O nowej sztuce
M. L. WEIGT
Wczoraj i dziś
CZESŁAW KUBALIK
Do mojej ziemi — wierz

„Zdroje” były pierwszym pismem literackim wyzwolonego Poznania. Dwutygodnik ten przeobraził się później w „Życie Literackie”.

Dramatyczny pojedynek wywiadów

W poprzednim odcinku, relacjonującym cykl odkrywający nieznane szczegóły walki o niemieckie „Vergeltungswaffen” (Bronie odwetowe) wymieniliśmy po raz pierwszy nazwisko Max Wachtel. Był to pułkownik artylerii przeciwlotniczej, powołany na stanowisko dowódcy gigantycznej baterii niemieckiej broni rakietowej.

Pewnego dnia w lecie 1943 roku, gdy na terenie Polski próby z V-1 i V-2 szły pełną parą (o czym „Welt am Sonntag” nie wspomina ani słowem) pułkownik Max Wachtel, dzisiejszy dyrektor lotniska w Hamburgu, leciał specjalnym samolotem He-111 — z Peenemünde do bazy, gdzie kilkadziesiąt tysięcy robotników organizacji Todta budowało wyrzutnię V-1. Miał wylądować na jednym z belgijskich lotnisk, lecz w drodze radiotelegrafista otrzymał depeszę wzywającą do natychmiastowej zmiany kierunku i pospiesznego lądowania w Paryżu.

POCZĄTEK WIELKIEJ GRY

Na lotnisku czekał już samochód, do którego wpakowano pana pułkownika i pospiesznie przewieziono do Pałacu Luksemburskiego, przed oblicze gen. Kozłowa, szefa szta-

Pani pamięta jak wtedy wyglądały ulice Poznania? No tak, za mioda pani... Aha — nie mieszkała pani tutaj.

No więc siedłem jednego dnia — to mógł być gdzieś dziesiąty styczeń — do pracy. Z Jeżyckiej — bo tam wtedy mieszkaliśmy — do tego wielkiego bunkra za dyrekcją kolejową. Tam budowaliśmy wtedy podziemną centralę telefoniczną. Patrząc — od Jeżyckiej aż po Most Teatralny pełno niemieckiego taboru. Wozy białe od szronu sterczą z nich w górę karabiny, konie szarpia się wystraszone — a żołnierza nie ma przy taborze ani jednego. Uciekli wi dać i tak to zostawili. Na mieście jakiś dziwny ruch: wszyscy kręcą się, wypatrują. Człowiek to już taki lekko-myślny: żeby się czegoś dowiedzieć poszliśmy i my z kolegami pod dyrekcję. Bo — choć nam Niemcy nie do końca nie mówili i kazali pracować — mieliśmy własne wiadomości o ruchach frontu, bośmy się włączali w różne linie telefoniczne i słuchali. Patrzymy: z naszego bunkra Niemcy wywożą maszyny, sprzęt. No, do pracy już nie trzeba było iść. Wróciliśmy do domów. Zaczęło się siedzenie w piwnicy i słuchanie ogłoszeń strzałów. — Daleko jeszcze czy już bliżej?..

„A ja do pana w bardzo pilnej sprawie”. Do mieszczącego się w suterenie pracowni wpadał snop jasnego, dziennego światła. „Bo wie pan te odbitki, które dostałam na wystawę”.

Mój rozmówca przeprosza, ustaje. Kiedy po chwili wraca — siedzi jakiś czas milcząc, z ręką na oczach. To wcale nie tak łatwo otworzyć w tej pełnej życia pracowni, po kilkunastu latach normalnej, spokojnej pracy — obraz tamtych dni.

Pewnie dopiero około 1. 2 lutego co odważniejszy wystawiał nosy z piwnicy. Powitało ich rosyjskie: „A wy, szto?”. „A my cywile, siedzimy w schronie”. „Al! Wysypali się na ulicę z karabinami, ale od Ubezpieczalni, od Mickiewicza praży! jeszcze pociskami niemiecki czołg.

Gdzieś koło piętnastego wolny był już plac Wolności i Muzeum. Któregoś dnia spotkałem starego kolegę — też pewnie od 23-4 roku tak jak ja — pracownik Muzeum — Wyrwę. „Pójdźmy zobaczyć — mówi — co?” Poszliśmy przed Most Teatralny, bo Kaniasty — wie pani — zniszczona była zupełnie. Weszliśmy — na podłogach jakie 30 centymetrów śniegu, wiatr świszczący ze wszystkich stron — ani jednej szyby w oknach, ani jednej w szklanym dachu. Ani jednego obrazu. Wiedzieliśmy, że Niemcy mieli tu ostatnio swoją wystawę fotografii „Feldzug in Osten”. To było z walk na Wschodzie, spod Stalingradu — ot, taka propaganda. Patrzymy: stary Penczyński, woźny, — też ogląda tę rui-

nę. Zaszedłem do mojej pracowni fotograficznej. Nic — ani aparatury, ani materiałów, ani dokumentów żadnych. No, ale zrobiliśmy zdjęcia poniszczonych sal. Na materiale wygrzebanym ze śmiecia, pogiętym, na pół zepsutym.

Znowu zgrzyt drzwi, znowu błysk światła i „jeszcze raz przepraszam, ale — niech pan oszczędzi, czy te odbitki są dość dobre?” „Szelest przerzucanych kartonów. „Nie, ta nie. Zrobimy lepsze”.

Na półkach równiutko poukładane piętrzą się pudełka z papierem fotograficznym, kolorowe ruloniki z filmami. Znajdzie się wśród nich taki, który zapewni foto-

ce co cenniejsze obrazy przenosiłymi pod pachą przez łąki nad Wartą i przez most kolejowy, bo most na Śródcie był zarwany. Kiedy nam skądś wpadła pierwsza skrzynia szyb — oszkliliśmy sami wszystkie sale od strony placu Wolności. No i wywoziliśmy śmieci, czyścili, zbijaliśmy szafy. Powoli gmach Muzeum wracał do życia.

Lubię spokojnym rankiem lazić po pustych muzealnych salach przystawiając przed znajomymi obrazami, łapać złociste blaski w falach włosów dostojnych dam i gubić wzrok w splątanych liniach ich sukien. Może pani Betsabe także jechała rozklekotanym, ręcznym wózkiem ze Śródcy? A



grafii odpowiedni ton, barwę, odcień, miękkość, wyraz...

Na czym to staliśmy?.. Aha! No więc wrócił też obecny wicedyrektor Michałowski. Znałem go sprzed wojny jako studenta historii sztuki. Splakaliśmy się nawet przy powitaniu. Z nim, z Wyrwą, Penczyńskim, Marciniakiem, Gorzelańczykiem zabraliśmy się do pracy. Wszystko starzy pracownicy. Marciniak — do zorca — już dziś nie żyje, Gorzelańczyk do dziś jest. Był też bibliotekarz Bąbel. I dziś jest. Całe dni i pół nocy spędza nad książkami.

Pracowaliśmy wtedy rzeczywiście na chleb. Bo ten chleb — to była cała nasza pensja. Jeździło się po niego wózkiem na plac Kolegiacki, pod województwo. Zaczęła się zwózka obrazów z różnych miejsc, gdzie były pochowane. Z kościoła Panny Marii na Śródcie, z Katedry, z kościoła św. Marcina. Mieliśmy tylko wózek ręczny, popychany (jest gdzieś jeszcze ten grat tutaj) a ulice były zrujnowane, mosty też. To na przykład z kościoła na Śród-

co, a zimno — na dobitkę — jak na złość! Pożyczaliśmy gdzieś samochód — taką, pamiętam, dryndę na gaz drzewny. Tym powozem jeździliśmy wtedy po województwie. Trzeba było zwieźć do Muzeum zabytkowe meble, obrazy z opuszczonych zamków, bo to o kradzież, zniszczenie nie trudno w takim czasie. Dwa, trzy razy w tygodniu wyjeżdżaliśmy w teren; wracało się nocą z nogami skostniałymi na kamieniach. Mamy ten grzech na sumieniu, że rozpijaliśmy wtedy nasze panie... No, ale to dla zdrowia. Inaczej by chyba nie wytrzymały. Bo bywało przecież rozmaicie.

Ktoś nam np. powiedział, że za Gubinem, w podziemnych piwnicznych lochach są nasze obrazy. Przynieśli — na dowód — oderwanie od nich karteczki z nadrukiem. Pojechalismy z prof. Kępińskim. Ogromne, ciemne korytarze rozgałęziały się we wszystkie strony. Przed nami — gdyby były — nie uchro nimy się, ale jak tu zrobić, żeby nie pobłądzić? Wybraliśmy sposób najprostszy: ciągnęliśmy ze sobą od wejścia — sznurek. Ale obrazów niestety nie znaleźliśmy. Były tylko karteczki.

A widziała pani ten pomnik Chopina? — Rzeźbę, która przed wojną stała w hallu Muzeum? Może ją pani teraz zobaczy w Muzeum Instrumentów Muzycznych. To znaczy tylko jej część. Głowę. Przechowywał ją przed Niemcami Penczyński. Gdzieś tu, w piwnicach. Kiedy Niemcy porabiali pomnik — zabrał głowę Chopina i ukrył w starych rupieżach. Ale zdjęcie tego pomnika to pani pewno widziała. Tak, fotografie wiele pomagają poznać. Teraz znowu przygotowujemy to wydawnictwo...

„Nadworny” fotograf Poznańskiego Muzeum Narodowego pan Leon Perz energicznie zamknął stary album wspomnień. I jakże mu to brać za złe, że woli mówić o tętniącym pełnym życiem dniu dzisiejszym Muzeum? Przecież dla takich dni — jak ten dzisiejszy — brał się kiedyś za bary z ciężkim wczoraj.

Rozmawiała:
Wanda CHILA

Gdy „Marcinek” był „budą” wędrowną

(Ciąg dalszy ze str. 1)

nal), z napędem zmontowanym na dykie zaopatrzonej w kij napisem: „Gimnazjum wędrownie K. Marcinkowskiego”.

A potem przyszedł dzień, kiedy dostaliśmy za pół darmo, całą klasę, bilety do Teatru Polskiego na „Przeplóreczkę” Zeromskiego. Toż to było wzruszenie! Ostatni (i pierwszy!) raz w prawdziwym teatrze byłem przed wojną... Do dziś mam w pamięci kreację bodaj Dzwonkowskiego. Do dziś kruszyłyby kopie o to, że wspomniane przedstawienie zagrane było koncertowo.

Trzeba było się znów przeprowadzić. Na Różaną. Pomagaliśmy w doprowadzaniu budynku do porządku.

— Może ktoś zna szklarza? Nie wiecie, gdzie by dostać kitu? Albo kredy, nie ma czym pisać na tablicy... Panowie, pożyczcie ten podręcznik, abym mógł przygotować następne wykłady! — takie i podobne zdania wypowiadali nasi drodzy profesorowie w pamiętnych tygodniach wiosny 1945, wypełnionej dla nas nauką i żywiołowymi kłopotami.

Stał się niepisany prawem zwyczaj, że ten, kto wydybił skądś podręcznik — stawał go do dyspozycji profesora. Ten — to była także reguła — dyktował syntetyczne notatki, stanowiące podstawę przygotowywania się przez nas. Rzeźbiła więc nautka i humor, przełamując przeszkodę, choć wojna dawała raz po raz znać o sobie.

Oto, pamiętam jak dziś, profesor Roszko objaśnia przy tablicy bardziej skomplikowane zadanie z fizyki. Kozioł, taaki chłop, grzecznie zwraca uwagę, że rozwiązywać należało by inaczej. Wykładowca życzliwie przyjmuje uwagi. Kozioł podchodzi do tablicy, kombinując wspólnie. Czterdziestu stara się podsunąć właściwy sposób rozwiązania. Na

próżno. Mgr. Roszko mówi cichym głosem:

— Panowie, musicie wybaczyć, jutro wrócimy do tego zadania. — Ja je przemyszę. Przez całą wojnę pracowałem fizycznie...

Mijały dni, kraszone podobnymi zdarzeniami i dowcipami Rysia Wasika, później mego kolegi po fachu, sekretarza naszej redakcji, zmarłego jesienią 1956. Przypominam sobie komiczną scenkę z lekcji niemieckiego, prowadzonej przez prof. Perdkę. Zaczyna ten pedagog nie bardzo miął pamięć do twarzy i nazwisk, a już w żaden sposób nie wiązał obu tych elementów w jedną całość. Jednego razu Rysio wstaje i stwierdza, że w ogóle nie bywa pytany. Czyżby profesor pominął go w swym notiesie?

— Wasik, Wasik...? Pierwsze cię widzę? — uzupełnił z przekonaniem. — Zaraz, zaraz... Wasik. A, nie — ty (to też było jakieś sympatyczne, to „tykanie” prof. P.) masz u mnie trzy plus. To ty dobry uczeń jesteś, Wasik... (uczeń miał 22 lata i 90 kg żywej wagi. To może Życki? Also erzaenle einige Szenen aus „Hermann und Dorothea”!

Widąc moja znajomość Goethego nie zadowoliła naszego germanisty, bowiem skomentował moje wystąpienie słynnym (przyjęło się u nas w redakcji!):

— Oj, Życki, ty nie rokujesz...

A potem... Zbliżała się rocznica wyzwolenia miasta, gdy wojskowy szpital opuścił macierzysty budynek „Marcinka”. Zimą 1946 przez pewien czas każdej nocy grupa z II licealnej pilnowała zwalniające gmachu. Spało się na zmianę, na półkach potężnej szafy... Ale naturę zdawaliśmy już na własnych śmieciach. Nawet anie udało się w styczniu doprowadzić do porządku. Tylko dach przeciekał nie-
miłosiernie...

Piotr ŻYCKI

(Ciąg dalszy na str. 4)

Ptaki i botanika

Dziwnie, prawda. Ma się tu pisać o laureacie, o profesorze wyższej uczelni, znanym zoologu, ornitologu — i daje się taki oto tytuł: Ano, bo ta botanika, to piękna naręcz kwiatów, jaka profesora Janowi Sokołowskiemu (nomen omen, bo i dosłownie ptak-sokoły są sympatią naszego laureata) nieraz przyczyniła się do jego naukowego życia. Oceniał tedy Poznań pracę profesora Sokołowskiego — naukowca i miłośnika wszystkiego co żywe, co umiła nam życie, co pozwalała nam wierzyć w Dobro. Oceniał Poznań lata Jana Sokołowskiego, które minęły, a których życzymy — oby było jak najwięcej. (thn)

Piękna jest Amazonka, ale Poznań — najmiśszy

By — prawda, Panie Profesorze? — ratować to co nam z ptactwa jeszcze w mieście zostało. Bo przetrzebiono ptaki; bo przetrzebiono; i żeby to koty-niecnoty, ale niestety mały awanturzyk, co to jeszcze r wymawiać nie umieją...

A że więc zjawiają się w gabinecie pana profesora Sokołowskiego delegacje ze szkół, drużyn harcerskich, że jak te ptaki przyfruwają listy z różnych stron o poradę, o sposoby ochrony obywateli krainy Zoologii, o wiele, wiele, spraw — że to raduje i pozwala wierzyć w przewagę dobra nad złem w polskiej młodzieży, — to, Profesorze, też jeden listek lauru nagrody naszego miasta.

Jan Sokołowski nie tylko wykłada w Wyższej Szkole Rolniczej swe naukowe spe-

cialności, nie tylko kształci przyszłych absolwentów uczelni, ale i „uprawia” sztukę plastyczną: maluje, rzeźbi. Nie, nie tylko ptaki, lwy; są i piękne krajobrazy, jest cudny dąb z lasów świętokrzyskich — słowem nie tylko to co Wiedzą się umiowało, ale i Sercem: przyrodę.

Oceniał tedy Poznań pracę profesora Sokołowskiego — naukowca i miłośnika wszystkiego co żywe, co umiła nam życie, co pozwalała nam wierzyć w Dobro. Oceniał Poznań lata Jana Sokołowskiego, które minęły, a których życzymy — oby było jak najwięcej.



Arkady Fiedler w towarzystwie małej przedstawicielki szepetu Moł w Kambodży

zał się fałszywym prorokiem, a niechętnie czynnik nie przydużył, zawdzięczał to po prostu komuś potężnemu i wpływowemu, który zdecydowanie stanął po mojej stronie: zawdzięczał wielo- wietotysięcznej rzeszy czytelników moich książek, a zwłaszcza czytelników wśród młodzieży.

Co porwało naszą młodzież? Nie to, że moje książki to arcydzieła pierwszej klasy, bo tak nie jest. Są to dzieła podróżnicze i powieści dla młodzieży, a te kategorie, zwłaszcza po wojnie, zalicza się do jakiejś drugoklasowej beletrystyki. Zatem co spowodowało popularność? Przede wszystkim to, że od najwcześniejszych lat umiałem marzyć, a później przez całe życie, do dnia dzisiejszego, w czym wprowadzać te marzenia z wytrwałością i konsekwencją. Dalej, że w te dalekie kraje wyjeżdżałem przeważnie z niewielkim zasobem środków materialnych, za to zawsze z olbrzymim zasobem serca, namietnego, wrażliwego, zaburzonego serca, i że tym sercem umiałem wyławiać przeróżne piękno ziemi, puszczy, wody, zwierząt, człowieka, a wyłowiony — przelewać je na papier w sposób najprostszy, najbezpośredniejszy.

Im więcej mam powodów, by być zaopatrzonym w zagnanie, tym bardziej stwierdzam, jak mocne, nierozwalne więzy łączą mnie z Poznaniem. Jest to pewnie ze wszystkich moich miłości najprawdziwsza, a niewatpliwie najwspanialsza. Może to dlatego, że czuję się szczególnie związany z życiem kulturalnym Poznania dzięki ojcu, w czasach pruskiego zaboru niestrudzonemu wydawcy i redaktorowi czasopism literacko-artystycznych, i dzięki dziadkowi, autorowi słynnych przed pół wiekiem podręczników do tajnych lekcji języka polskiego? Dość, że oto fakty bezsporne: pomimo że moje oczy wchłaniały tyle piękna na świecie, że uszy

nasłuchiwały się szumu tyłu wspaniałych Amazonek i Mekongów, nogi stapały po ulicach tyłu czarownych miast jak Rio de Janeiro, pomimo że doznałem przyjaźni tyłu serdecznych ludzi wszystkich odcieni skóry — to przecież wiosenne pąki dębów w naszej Dębinie jest najcieleńsze, szum Warty pod Mostem Chwaliszewskim jest najpiękniejszy, ulice nawet podczas słońca tu najmiśsze, a ludzie, ludzie tu może mniej polotni niż gdzie indziej w Polsce, mniej wymowni i jacyś twardsi, ale, przecież najmiśsi, najprzyjaźniejsi. Dlatego zawsze stęskniwszy wracam do Poznania.

Tegoroczne przyznanie zaszczytnej nagrody sprawiło mi wyjątkową radość. Serdeczne dzięki Komisji Kultury m. Poznania, a przede wszystkim jej Przewodniczącemu, który, nie będąc mi ani bratem, ani swatem, tak przyjaźnie i z takim szlachetnym zapalem kruszy kopie w mej sprawie. Równie gorącą podziękę składam Prezydium Miejskiej Rady Narodowej i jej Przewodniczącemu, którzy uchwałą Komisji Kultury zechcieli wprowadzić w życie nadając jej trwałe znaczenie w historii kulturalnej Poznania.

Przyrzekam z całym sumieniem i z całą pasją — szczególnie wszystkim moim czytelnikom i przyjacielom — czy to młodej entuzjastce, nauczycielce Felicy Sobalskiej spod Pily, czy Frau Anneli Nörenberg i jej dzieciom z Rostoku, czy staremu nauczycielowi Narkiewiczowi z Wilna — przyrzekam, że dołożę wszelkich starań, ażebyż nad kanadyjskiej rzeki Mackenzie, czy z gorącej wyspy Celebes, czy z urzekającej Tahiti przywieźć jeszcze do Polski takie plony, które przysporzą chluby Poznaniowi.

Arkady FIEDLER

Z historią za pan brat

Jak przystało na naukowca — pani Brygida Kürbisówna przyjmuje nas w swojej pracowni, pełnej szacownych, starych, grubych i pożytkowych — oraz młodszych, znacznie cieńszych — ksiąg. Jak przystało na kobietę — przed zetknięciem się z obiektywem aparatu fotograficznego — zerkna w lusterko. I wreszcie — jak przystało na laureata (przypominamy: nagroda miasta Poznania) — zgodnie sięga do wspomnień.

Nie, niestety — nie jest poznaniaką! Urodziła się i wychowała na Pomorzu, w Gdańsku i w Chełmnie. Ale w Poznaniu mieszka już 13 lat i bardzo to miasto kocha. Prawie tak, jak Chełmno.

I proszę — wyobraźcie sobie: nigdy nawet nie przypuszczała, że poświęci się karierze naukowej. Owszem, historię zawsze bardzo lubiła, ale to wcale nie był jej „hobby”.

O, czasu ma doprawdy bardzo niewiele. Na Uniwersytecie wykłada i ćwiczenia, a w domu — praca naukowa. Owszem, ma „swoją” dziedzinę, w której z upodobaniem sfera. Jest nią dziejopisarstwo średniowieczne. Efektami owego sferowania były np. ogłoszone w 1952 roku „Studia nad kroniką Wielkopolską” i mające się ukazać „Dziejopisarstwo Wielkopolskie XIII i XIV wieku”. Pracuje również w redakcji wydawnictwa „Studia Źródłoznawcze”. A prywatne upodobania? Mój Boże — tak mało czasu... Chyba można i muzyka. Ale — ulegając rozsądkowi — wakacje spędza w górach, żeby się „rozruszać”.

Rozmawiała: WAN

Bardzo żałujemy, że nie mieliśmy szczęścia rozmawiać (nie z naszej winy) z prof. dr. Stefanem Kwaśniewskim, który też zamiast rozmowy podaje nam tylko że prof. dr. Kwaśniewski otrzymał nagrodę m. Poznania za wybitne osiągnięcia w dziedzinie reumatologii. (red.)

DISKUSJA i polemiki

W SPRAWIE „NAUKI KULTURY”

GŁOS NAUCZYCIELA

Zainteresowała mnie dyskusja na temat kultury naszego społeczeństwa, w związku z czym chciałbym dorzucić kilka swoich uwag na ten temat. Jako nauczyciela, interesuje mnie przede wszystkim sprawa kultury wśród młodzieży szkolnej.

Redaktor Binek w ostatnim numerze „Nowego Świata”, polemizując z red. Michniakiem, występuje przeciw projektowanej przez niego „nauce kultury” w szkołach.

Uważam, że należałoby w tym sporze ustalić, jak zrozumiemy to nauczanie, a obaj dyskutanci będą mieli rację.

Bo przecież przez „nauczać” nie można tylko rozumieć wprowadzenie dodatkowego przedmiotu nauczania, który miałby dać młodzieży to niezbędne minimum kultury, która — jak podkreśla red. Binek — nie jest tylko sumą określonych wiadomości, lecz jest m.in. posiadaniem określonych nawyków, wrażliwości na takie czy inne bodźce.

Dlatego też warunkiem podniesienia poziomu kulturalnego młodego pokolenia jest systematyczne oddziaływanie w całym procesie dydaktyczno-wychowawczym na młodzież: wyrabianie wrażliwości, rozwijanie zainteresowań, uczulać nie na piękno wkażdym przedmiocie nauczania, zarówno na lekcji języka ojczystego, jak na rysunkach, na lekcji przyrody czy na wycieczce.

Realizacja tych postulatów zależy od samego nauczyciela i on stara się je z większym lub mniejszym rezultatem wcielić w czyn. Wyniki — jak wszyscy widzimy — są mierne. Co jest tego powodem? Wydaje mi się, że przede wszystkim brak czasu. fatalne często warunki pracy i, co się z tym łączy, przecenianie, zniechęcenie.

Zdając sobie sprawę z tego, że kultury nie można wyłączać nauczyciela, jak np. matematyki, jestem jednak zwolennikiem wprowadzenia w szkołach lekcji kultury czy dobrego wychowania. Zresztą

nie nazwa jest tu ważna. Istnieje przecież zasób pewnych powszechnie przyjętych zasad, form grzecznościowych i obyczajowych, z którymi nauczyciel nie ma czasu zapoznać młodzieży na lekcjach z powodu przeładowania programów. Często przekonują się w rozmowie z młodzieżą, że nie zdaje sobie ona sprawy z niewłaściwości swego zachowania w takiej czy innej sytuacji, gdyż nikt jej o tym, jak należy się zachować w tej konkretnej sytuacji — nie mówi.

Osobnym problemem jest zapewnienie nauczycielowi, który ma być ambasadorem kultury wśród młodzieży, warunków ku temu.

Gorzką prawdą jest, niestety, fakt, że często nauczyciela nie stać na teatr, zakup nowej książki czy zdobycie biletu na Konkurs im. H. Wieniawskiego, podczas gdy jego niedawny uczeń bez ukończonej 7 klasy, może sobie pozwolić na kupno pięknego ubrania i... wódkę.

Osobiście znam wielu nauczycieli, którzy nie widzieli: Warszawy, Krakowa czy np. Trójmiasta, a mówią o tych miastach na lekcji dziejom, które były tam często kilka razy.

Chciałbym też zwrócić uwagę na trudności, jakie nam, wychowawcom, sprawiają często ludzie dorośli. Np. słownik do rastającego i dorosłego pokolenia w miejscach publicznych w obecności dzieci czyni ogromne spustoszenie w pracy wychowawczej szkoły.

Uważam, że ze względu na zastraszające rozmiary, jakie w ostatnich czasach przybiera ten „rozboj słowny” w miejscach publicznych — należałoby zastrzyść sankcje karne na tego rodzaju chuligaństwo i winnych surowo karać.

Uważam, że w tej dyskusji winny wziąć udział wszystkie zainteresowane czynniki, gdyż temat ten jest tak obszerny, że nie sposób wyczerpać go na kilku stronach listu.

M. POGORZELSKI
Poznań

DECYDUJE SYTUACJA NA „RYNKU KULTURALNYM”

Jestem tylko jednym z wielu zjadaczy prasowego chleba (czytaj: gazet i czasopism) i nie wiem, czy moje trzy grosze wniosą coś nowego do dyskusji, temat jej jednak jest tak aktualny i pociągający, że ośmieliłem się, mimo wszystko, zabrać głos.

Jak można oddzielać kulturę, pojmowaną przez red. Michniaka, jako reakcję społeczeństwa na twórczość artystyczną, od kultury bycia i kultury obyczajowej? Wszystkie one zająłby się o siebie, wzajemnie na siebie wpływając. U człowieka prawdziwie kulturalnego*) wewnętrzna kultura znajdzie swe odbicie w wyborze dóbr kulturalnych, które mu się ofiaruje. Człowiek taki nie poleci zatem na szmirę i „lipę”, ale będzie dokonywał selekcji wśród tych dóbr, zgodnie ze sferowanymi przez siebie kryteriami estetycznymi i etycznymi.

I na odwrót: pseudo-kulturalne menu, podawane społeczeństwu, kształtuje smak pseudo-artystyczny i wpływa nawet na tzw. oblicze moralne społeczeństwa.

Dopóki sytuacja na odcinku tzw. rynku kulturalnego nie poprawi się zdecydowanie, nie poprawi się również nic w stosunkach ogółu społeczeństwa wobec dóbr kulturalnych.

Zresztą co tu mówić o nauce kultury, pojmowanej, jako wrażliwość dziecka na piękno artystyczne?

Jeżeli niejednemu dziecku brak podstawowych zasad „kultury na codzień”, o czym świadczy plugawy słownik, używany często nawet przez najmłodszych, i wandalizm w niszczeniu dobra społecznego. Więc jakżeż z tą kulturą artystyczną? Sprawa beznadziejna? Chyba znowu nie jest tak źle. Płyczna kulturalna społeczeństwa jest tylko pozorna. To popiół, pod którym ukrywa się ogień. Ludzie w Polsce są wrażliwi na piękno. Potrafią zachwycać się i przejmować wartościowymi rzeczami. I jeżeli leca na łatwiznę, to z tej prostej przyczyny, że owych wartościowych rzeczy podaje im się za mało.

Przed Październikiem było w Polsce nudno, jeżeli chodzi o twórczość artystyczną, po Październiku jest w Polsce pod tym względem nie tyle nudno, co brudno.

Z upowszechnienia i pogłębienia artystycznej kultury tak długo będą nieci, jak długo ludzie, odpowiedzialni u nas za politykę kulturalną, będą patrzeć przez palce na spłykanie tej kultury przez samych jej twórców i producentów.

Na zakończenie pewien projekt: Czy nie byłoby dobrze wybudować w Poznaniu centralnego ośrodka kultury, gdzie ludziom znużonym, nie wiedzącym, co robić z wolnym czasem udostępniłoby się artystyczne wartości w sposób przyjemny i zajmujący, tą drogą wyrabiając w nich smak artystyczny?

Antoni BOCIAN
Poznań

DISKUSJA i polemiki



Prof. Sokołowski nie bardzo lubi się fotografować. Toteż zrobiliśmy zdjęcie jednej z jego prac, którymi gęsto są obwieszane ściany pracowni.

NIECODZIENNY to ewenement: Poznańska Filharmonia laureatem Stół. Miasta Poznania! Ta wielce zasłużona na groda daje miłą okazję do wertowania w starych zapiśkach i we wspomnieniach.

Muzykowanie i śpiewano w Poznaniu na ogół zawsze dużo, często dobrze, czasami rozmaito. Ale zawsze Rodakom na pokrzepienie, Prusakom dla odporu. Muzykowały „uszuśkie stany”, konspiracyjnie — także gimnazjaści.

Mieli wte „Marynkarze” swą tajną orkiestrę i tajny chór, występowali zaś z koniecznością jawnie. Przy każdej okazji. W sali Domu Król. Jadwigi (Al. Marcinkowskiego 1), u Wendland na Jeźcach, w saice drukarni św. Wojciecha przy ul. św. Marcina, (naprzeciw Piekarni, obok Kina „Muza”) — w ogóle gdzie tylko kapryśne muzyki posiały.

Dyrygentem był Ireneusz Wierzejewski (po latach doktor medycyny, organizator Zakładu Gąsiorowskich), „koncertmistrzem” — skrzypkiem — Antoni Banaszak (uczeń E. Jahnkego, później adwokat i marszałek sejmiku powiatowego), na flecie grywał Józef Marcinik (z czasem ksiądz i dziekan), na kontrabasie wtórował — Czesław Kłós (t. cz. profesor Politechniki Warszaw., wybitny statyk). W blachę i drzewo (za talara od wieczoru) dmuchali muzycanci z orkiestr wojskowych.

W tych też czasach (bodaż w r. 1902) przydarzyła się pocieszna awantura. Na koncercie z potanicówką, w saice św. Wojciecha, występował m. in. chór „Marynki” pod dyrykcją Wierzejewskiego. W dalszej części programu miano wykonać znaną pieśń z refrenem: „Hej, hej, do kniej, do kniej, — bo w kniej trąbki ton...” — bo w kniej trąbki ton...

(aluzja do czynów powstańczych!). Po refrenie odzywało się echo trąbkowe. Toteż w wygłosze, tuż przy scenie, zamknięto na klucz trębacz — wo jaka, osłaniając mu czekanie i niezbyt wonną samotność kuflem piwa i świeczką. Tomek Skalski, jako najbliższy, miał obsługiwać kurtynę i wystukiwać sygnał dla trębacza.

Ireneusz Wierzejewski, nabity we frak, stanął przed chórem, podał ton, i — dał znak by kurtynę podnosić. Tomek, czy się zagapił, czy też po prostu dla kawału, podkręcając kurtynę wkręcił w nią „najpierw poły dyrygenckie-

FILEARMONII

go frańka, potem odstąpił jego „odwrotną stronę” i w końcu zaczął podciągać samego dyrygenta. Gaudium zrobiło się niesamowite i wśród wielkiego aplauzu ściągnięto mistrza batuty z tego uniewiebowienia. Figlarny mechanik szybko wycofał się do bufetu, tak, że gdy trzeba było „grać echo” nie zdążył z powodu tl ku na posterunek. Echo nie zagrało.

Zapomniano też o zamknięciu „artyście”. Około północy, ktoś bardzo „przyciętny” zastukał do zamkniętej windy. I wtedy odezwało się „echo”. Stukanie obudziło bowiem muzykę, który też nie omieszkał wypełnić swój program. Wtórne stukanie wyzwoliło powtórzenie „erha”. Wreszcie wyciągnięty z zamknięcia trębacz tłumaczył się: „Ich muss hier doch das Echo blasen!”.

Potem młodzi entuzjaści wyrosli, zluźowali starsze pokolenie i zaczęli „organizować muzykę” na wyższym szczeblu.

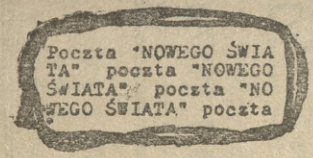
Obok starej sali bazarowej głównymi punktami oparcia dla „polskiej” muzyki była sala Ogrodu Zoologicznego, a czasu i wojny światowej sala Lambert (Apollo). Jednym z najczynniejszych organizatorów spraw muzycznych był w owe czasy obecny prof. inż. Marian Andrzejewski.

Wykonywanie wielkich programów wymagało zespołów: solistów, chórów, orkiestr. Chóry były na miejscu, dobrze pracujące i wyrobione. Solistów mobilizowano z całej Polski. Orkiestry sprowadzano — z Drezdenka, Trzebnicy, Wrocławia, Berlina... wyjątkowo składano na miejscu.

I tak np. pierwsze w Poznaniu wykonanie „Pieśni o Ziemi naszej” Dembskiego odbyło się 14. II. 1875 w sali Bazaru pod dyrykcją kompozytora. Drugie wykonanie dzieła nastąpiło w sali „Apollo” 22. IV. 1910 r. Wykonywały połączone chóry, męskie Poznania, towarzyszyła orkiestra symfoniczna z Trzebnicy, partie solowe śpiewali m. in. prof. Stan. Bursa z Krakowa (tenor) i Witold Różański z Berlina (bas). Dyrygował Tomasz Kazimierz Bartkiewicz, uczeń ks. Wreszcie sezon „wojenny” w sali Lambert (Apollo). Pierwszy koncert wypełniły panie Maria Kopezyńska i Maria Szafralberówna. Tam też wystawiono „Quo Vadis” Feliksa Nowowiejskiego. Śpiewała „Lutnia”, dyrygował ks. dr. Wacław Gieburowski, towarzyszyła orkiestra z Wrocławia. Oratorium wykonano trzykrotnie.

Władze niemieckie szybko zmiarkowały, że ta muzyka „polska” coś za głósza. Na trzy dni przed premierą „Quo Vadis” stwierdzili, że sala budzi zastrzeżenia „pod względem bezpieczeństwa”.

(Dokończenie na str. 4)



J. Spaleniak. — Mosina. Pani przypuszczenia okazały się słuszne. Ale ponieważ w ostatniej krzyżówce została wylosowana m. in. Pani odpowiedź, w ten sposób „sprawy się wyrównały”.

Stefan Ignaszak. — Poznań. List przeczytałismy z zainteresowaniem. Prosimy o przybycie do redakcji (w godz. 11-15), II piętro, pokój nr 66.

„Ciconia”. — Poznań. Z nadesłanego materiału nie skorzystamy.

A. Giżycki. — Poznań. Zachowujemy w teczkę.



Tessa Kennedy Dominie Elwes podczas swej pogoni za małżeństwem po świecie: w Curacao (Indie).



Bez słów

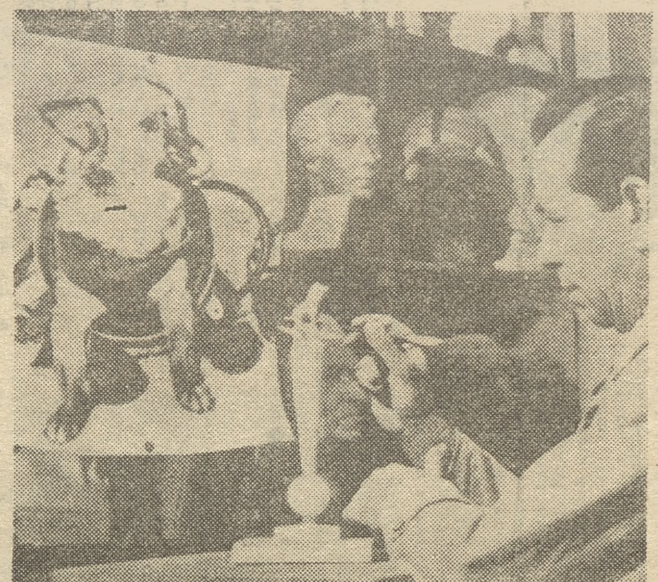
Znana z „La Strady” znakomita charakterystyczna aktorka włoska — Guletta Massina wystąpi wkrótce w nowym filmie pt. „Fortunella” (patrz zdjęcie) w roli młodej, żyjącej w świecie własnych pięknych marzeń dziewczyny, której — niestety — życie codzienne nie oszczędza brutalnych rozczarowań.

ODYSEJA MIŁOŚCI

Ta młoda para, którą widzicie na zdjęciu, jest dziś nareszcie szczęśliwym małżeństwem. Piszemy — nareszcie, bowiem ich droga do „ślubnego kobierca” najeżona była niezwykle trudnościami i perypetiami.

Dominic Elwes, syn londyńskiego malarza, i Tessa Kennedy, dziesięcioletnia dziewczyna z tzw. „dobrego domu” (także Londyn) chcieli się ko niecznie pobrać. Ku ich rozpaczy rodzice stanowczo sprzeciwili się małżeństwu. Ponieważ prawo brytyjskie przewidywało, że w tym wieku panny młodej, zezwolenie rodziców jest konieczne — młodzi byli w rozpacz. Cóż? Miłość zwyciężyła i para młoda postanowiła zawrzeć związek małżeński w Szkocji. Ale przedsiębiorczy ojciec dziewczyny nie zasympatyzował z popielem — również w Szkocji odmówiono młodym małżeństwu. Pojechali zatem szukać szczęścia w Holandii. „Niemożliwe — ustyszeli. — Zanim narzeczona ukończy lat 30 (!), konieczna jest zgoda rodziców”. Tessa i Dominic byli uparci. Polecieli samolotem od Lizbony do Nicei, potem do Lizbony, wreszcie do Curacao (Indie Holenderskie). Ale i tam spotkali się z odmową. Wszędzie ścigał ich zakaz upartego papy. Po nieraznej próbie na wyspie Kubie, udało im połączyć się wreszcie węzłem małżeńskim w Havannie. Nie wiadomo jednak, czy będą mogli wrócić do ojczyzny (brytyjscy prawnicy obecnie żywo dyskutują, czy ich małżeństwo jest w Anglii prawomocne).

Podziwiamy wytrwałość tej sympatycznej pary. I dlatego słowo „miłość” piszemy z dużej litery...



Lajka — pierwszy żywy pasażer pierwszej podróży „pozaziemskiej” będzie miała tablicę pamiątkową na psim cmentarzu w Rapallo (Włochy). Rzeźbiarz Agostino Pastene (na zdjęciu) pracuje właśnie nad projektem.



Sposób na nudę

Londyńczyk George Wilson przeżył również dla zabicia czasu 37 sztuk Szekspira. Obecnie „pisarz” przystąpił do przepisywania Biblii.

Rzecz gustu...

Dwaj profesorowie kanadyjscy zjedli większą ilość motyli. Następnie opublikowali sprawozdanie, w którym stwierdzają, że motyle są bardzo smaczne.

„Nie czas na śmierć”

Reżyser Terence Young przystąpił do nakręcania filmu, którego

akcja rozgrywa się w Libii, w okolicach Trypolisu, w czasie ostatniej wojny. Bohaterami filmu są: Polak, Amerykanin, Australijczyk i dwaj Angliecy. Film nosi tytuł: „No time to die”.

Jajka na beton!

Zoologowie amerykańscy wyhodowali specjalny gatunek kur, które znoszą nitekujące się jajka. Jajka nowego gatunku tuka się podczas transportu zaledwie w pięciu procentach, podczas gdy normalnie tłucze się 11-12 procent. Czy tylko gospodynie nie muszą używać przy robieniu jajecznicy — młotka?



Z wizytą u Sherlocka Holmesa

Ekspozatami, wystawianymi w roku 1951 podczas „Festiwalu Brytyjskiego”, umieszczano jeden z domów przy Nordumberland Street w Londynie. Jeden z pokoi przedstawia mieszkanie sławnego, choć żyjącego tylko w fantazji Conana Doyle’a „króla detektywów” — Sherlocka Holmesa (na zdjęciu). Wygląd pokoju odtworzono ściśle według opisów powieści, których Holmes był bohaterem.

Zdjęcia i rysunki: „Heures Claires”, „Sie und Er”, „Welt am Sonntag”, „Vie Nuove”.



Nazwy miejscowości zaczynające się od litery J mają w sobie dużo wiejskości i lata. Wiele tu Jabikowów, Jasieńców, Jaworów, Jerzykowów i Jezior.

JARACZEW nie miał w swoim życiu szczęścia. Urodzony w r. 1519 pędził żywot raczej niedny i cichy. W roku 1800 liczył 381 mieszkańców, w latach 1860-83 zaledwie 1105, po I wojnie światowej 855, w r. 1931 — 833. Takim starcom potrzebny jest zastyrzyk odmładzający — w postaci przemysłu terenowego.

JAGODNO — wieś pod Kostrzynem Wlkp. już w r. 1213 została utrwalona w dokumentach.

JAROCIN — skończył w roku ubiegłym 700-ny rok życia. Ochrzcili go Jarota vel Jarosław dając mu swoje imię. Kazimierzowi Jagiellończykowi w 1458 r. posłał Jarocin 10 pieszych na wojnę. W XVII wieku należał do olbrzymich dóbr Przyjemskich.

Jest to przykład miasta — szczęściarza. W roku 1806 miał 779 mieszkańców, czyli był wówczas o 100 ludzi mniej niż dziś. Na starość wygrał duży los w postaci węzła kolejowego i autostrady wiodącej na Śląsk. W przeciwnym wypadku otrzymałby emeryturę w randze wsi. W ciągu 150 lat urosł 20-krotnie, podczas gdy wspomniany Zaniemyśl zaledwie 2-krotnie.

Dramatyczny pojedynek Filharmonii wywiadów

(Dokończenie ze str. 2)

było je trać i postanowili monitorować je w ostatniej chwili, gdy nadejdzie hasło „Rumpelkammer” (Rupieciarnia). Chwilowo rupieciarnię próbowali urządzić Angiełscy i amerykańscy lotnicy.

nieudana próba porwania

Wszystko właściwie Angiełscy wiedzieli: „co się szykuje” gdzie i kto kieruje przygotowaniem. Brak im było natomiast istotniejszego elementu: w jaki sposób latające bomby są sterowane. Ten szczegół był istotny dla pospiesznego zorganizowania obrony przeciw-rakietowej. Stąd powstała śmiała, partyzancka myśl porwać pułkownika Wachtela vel Wagnera, vel Schmidta, vel Wolfa. Niech sam opowie. Pewnej nocy na początku roku 1944 nad ujściem Sommy przeleciała wielka eskadra powietrzna. Z jednej maszyny wyskoczył samotny spadochro-

dem bezpieczeństwa pożarowego” Wszystkie to kapitalnie odzaczynał na szczęście nie zastąpił prof. M. Andrzejewski — a jak to zrobił niech Wam sam opowie! Jest wspaniałym gawędziarzem. Pod koniec wojny, „za karę” powołano go pod sztandar Jego Ces Mości, bez zresztą większej korzyści „für den Landesherrn”.



Max Wachtel w mundurze pułkownika piechoty, z zapuszczoną brodką, w innym ucieczaniu.

NIESTAJĄCY „BAL MASKOWY”

Odtąd dowództwo i sztab „Sonderinheit” wielokrotnie zmieniało miejsce pobytu. Najprzód przeniosło się 8 kilometrów dalej, instalując się w innym pałacyku — jako „Bauleitung Schmidt”. Już wtedy doradca balistycznym płk. Wachtela był major rezerwy, a w cywilu profesor Sommerfeld z wrocławskiego uniwersytetu. Nierzadko z zamczku wyjeżdżało auto ze znakami „WL” (Luftwaffe), a po przebyciu krętymi, nieznanymi drogami, zmieniało znaki na inne w głębi lasu; pasażerowie zaś przebiegali się w inne stroje i mundury, czasem w ubrania cywilne — i pod innymi nazwiskami jeździli na sztabowe konferencje do Paryża lub na inspekcje prowadzonych robót.

Angielski wywiad nie zasypiał jednak gruszek w popiele. „Maskarada mundurowa” wydała się placówkom wywiadowym podejrzana, a francuski ruch podziemny zauważył niesłychanie lotne „kierownictwa budów” (Bauleitungen), które raz były umundurowane jak artyleria przeciwlotnicza, innym razem jak OT, po czym znów miało się do czynienia z cywilami. Jeden z najbardziej zdolnych agentów oddziału „MI 5”, podlegającego płk. Duncanowi Sandysowi (specjalista od wywiadu tajnych brońi niemieckiej) w Londynie, miał zebrać dokładne dane. W końcu w rękach wywiadu brytyjskiego znalazł się raport francuskiego wywiadowcy, który wyraźnie wskazywał, co się szykuje pod Abbéville. Café Pas-de-Calais zostało ogłoszone „jako strefa najwyższego zagrożenia”. Zdjęcia lotnicze potwierdziły raport agenta. Posypały się porcje bomb lotniczych. Nie przyniosły one znaczniejszych szkód. Nie docierały bowiem do ukrytych w senonackich pocisków. Niemcy trzęsła przygotowywali swoje wyrzutnie tak, że trudno



To zdjęcie wykonał płk Max Wachtel. Tak transportowano V1 przez pustą francuską wieś. Pociski wędrowały do bezpiecznych, głębokich sztolni.

Równolegle w auli „Królewskiej Akademii” organizowano sezony koncertowe. Polskie zespoły nie miały wprawdzie dostępu do tej sali, za to polska publiczność ratowała „honor” umuzykalnionego Poznania. W Operze także! Oficjalni „kulturträgerzy” mieli wprawdzie „ostmarkenzulagi”, ale za to mniej pociągdo spraw tak dziwnych jak koncert symfoniczny czy opera „Różycki’s — Eros und Psyche”.

Potem miały czasy coraz nam bliższe. Radosne i bardziej zamglone. Wszystkie bar dzo pracowite muzycznie i błędne Wróćmy do nich jeszcze. Dziś czcimy Orkiestrę — Laurentia... i Jubilatke. Vivat floreat, crescat! Na dalszych dziesięć Dziesięcioleci! Bo nagroda Miasta Poznania to dopiero „zaproszenie do Muzyki” w tym Mieście.

WIKTOR TUTEJSZY

Uwaga! Uwaga! Frekwencja na koncertach symfonicznych spada. A Poznań jest przecież umuzykalniony nie tylko w legendzie i swoim mniemaniu!

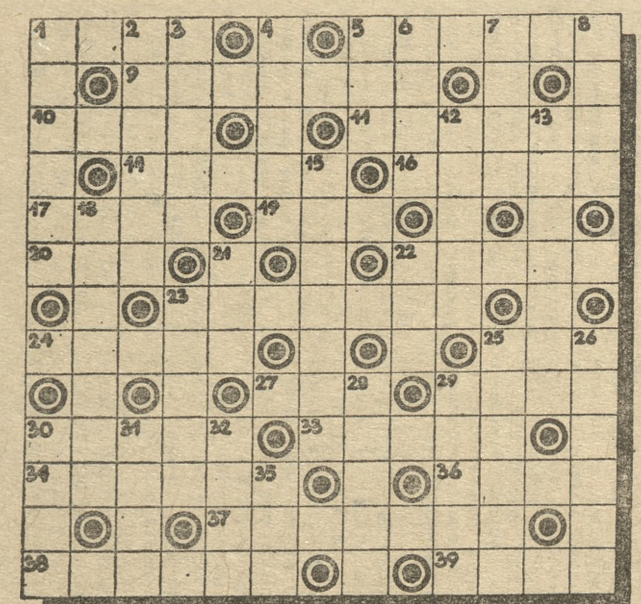
stko ruszył w jego kierunku. Równocześnie w pobliżu zjawili się wolno jadący czarny Citroën Według wszelkich reguł bojowo-dywersyjnych zamach zmierzający do porwania pułkownika — był przygotowany znakomicie. Niestety, płk Wachtel w tym momencie zatrzymał się chwilę. To wystarczyło. Odległość od samochodu była zbyt wielka, a w drzwiach kasyna w kilka sekund później: zjawili się członkowie jego sztabu. Porwanie nie udało się, a młody Max Wachtel nie przedstawiałby wartości.

Następny odcinek opracowany na podstawie relacji „Welt am Sonntag” zamieścimy prawdopodobnie za dwa tygodnie. (11)

KRZYŻÓWKA

pod red. L. Rudkowskiego

Poziomo: 1 — symbol władzy monarchy, 5 — ornament w kształcie rozwiniętej róży, 9 — osoba niezwykle, wyjątkowa, 10 — tytuł władców mahometańskich, 11 — dawny powóz, 14 — dolna część pomnika, 16 — wywar z ziół, 17 — biblijny ogród rajski, 19 — nasyp, grobla, 20 — ptak domowy, 22 — magazyn zbożowy, 23 — roślina warzywna, 24 — znak Zodiaku, 25 — inicjały agencji prasowej, 27 — odcinek gry w tenisa, 29 — biesiada, bankiet, 30 — wyższa izba parlamentu, 33 — przyrząd do wbijania pali, 34 — rozpuszczalnik lakieru, 36 — godło, cecha, 37 — budynek kryty kopuła, 38 — miejsce wylądowania arki Noego, 39 — zwrot staropolski. Pionowo: 1 — związek tienu z innym pierwiastkiem, 2 — wojskowy wyższego stopnia, 3 — podpalacz, Rzymu, 4 — wynik rybołówstwa, 5 — przyrząd gimnastyczny, 6 — imię biblijne, 7 — bajkopisarz grecki, 8 — galareta z gionów morskich, 12 — włókna z liści palmowych, 13 — tak zwano po franc. Napo-



Odpowiedzi należy nadsyłać na adres: „Nowy Świat”, Poznań ul. Grunwaldzka 19, najpóźniej do dnia 26 bm. Autorzy bezbłędnych rozwiązań otrzymają nagrody książkowe.

leona, 15 — towar umieszczony w wagonie, 18 — rzeka w Beskidach Zachodnich, 21 — bozek leśny, 22 — liczebnik, 23 — jednostka wagi drogocennych kamieni, 25 — śródowisko poetów, 26 — plot, ogrodzenie, 28 — stado koni, 29 — stary góral, 30 — duży pokój, 31 — rzeka przepływająca przez Lenigrad, 32 — prawo mojżeszowe, 35 — stowarzyszenie techników.

Nagrody za trafne odpowiedzi na poprzednią krzyżówkę otrzymują z Poznania: Zygmunt Karasiewicz, ul. Sienkiewicza 13, m. 10, Jarosław Szyłhan, ul. Słowackiego 36, m. 8, Olga Sewastjanik, ul. Różana 23, m. 3 oraz Celina Borowiakówna, Leszno, i Andrzej Henke, Oborniki.

Autor przeprasza czytelników za błąd, który się zakradł do ostatniej krzyżówki: w rubryce: pionowo 3 powinno być „byk tybetański” zamiast „wawóz”.

Jednocześnie przypominamy, by na kopertach nadsyłanych odpowiedzi umieszczać napis: „krzyżówka”. Odpowiedzi bez tego oznaczenia nie będą rozpatrywane.